Przyjaciel Ludu.

ROK DZIESIĄTY. **No. 29.** Leszno, *dnia 13. Stycznia 1844.*



Z natury ryс. M. Brgusz Sęczyński 1841.

Okręgowe miasto Rzeszów, (od strony Głogowa.)

Rzeszów.

Miasto okręgowe w dzisiejszém królestwie Gallicyi, niegdyś w województwie ruskiém, w ziemi przemyślskiéj, nad rzeką Wisłoką. Łubieński w dziele: *Swiat we wszystkich swoich częściach*, stron. 426., tak miasto to za czasów Rzeczypospolitéj polskiéj opisuje: „Rzeszów, miasto wałami wzmocnione, nad rzeką Wisłoką, przyozdobione farnym kościołem murowanym, a osobliwie kościołem, kollegium i szkołami OO. Pijarów wspaniałemi, także bernardyńskim i reformackim klasztorem i kościołem na przedmieściach; przytém zamkiem za miastem bardzo wspaniałym, kosztownym i ozdobnym, mocno ufortyfikowanym, należącym do familii Lubomirskich.“ — Książęta Lubomirscy, w których ręku Rzeszów od dawna się znajduje, nie szczędzili żadnych ofiar, aby miasteczku temu nadadź wzrost, ozdobną postać i zamożność, do czego także utrzymywane tu niegdyś przez Pijarów szkoły znacznie się przykładały.

W bliskości Rzeszowa pod Głogowem znajdują się szczątki klasztoru XX. Karmelitów-Missyonarzy, które załączona rycina wyobraża.

N. P.

Franciszek Stankar.

Skażone obyczaje duchowieństwa, rozliczne nadużycia, których się ciż słudzy ołtarza dopuszczali, i rozgałęziony, a szczególniéj po całéj Wielkopolsce, hussytyzm, usposobiły umysły do wszelkich zmian w rzeczach wiary, jak następnie skwapliwego przyjęcia nowéj nauki Lutra, Kalwina, Aryusza i Socyna. Liczne i ciągłe stósunki przemysłowe i handlowe wielkopolskich i pruskich kupców, rzemieślników i obywateli z miastami niemieckiemi i ich mieszkańcami; tudzież wysełana na nauki do szkół i uniwersytetów majętnych mieszkańców młodzież, rozszerzały nowatorów zdania po powrocie swoim do domów rodzicielskich, pomiędzy młodszymi współziomkami swoimi. Sprowadzana na nauczycieli domowych młodzież niemiecka, sprzyjanie możnych rodzin polskich i przechodzenie do nowych wyznań; były to kardynalne okoliczności, najdzielniéj sprzyjające i ułatwiające szerzenie się reformacyi. Duchowieństwo polskie widząc grożące niebezpieczeństwo kościołowi swemu, chwyciło się wszystkich środków utrzymania wiary katolickiéj; lecz gdy wśród samego duchowieństwa znalazło się wielu sprzyjających reformacyi

lub porzucających religią ojców, usiłowania stawały się daremnemi. Jan Łaski, synowiec arcybiskupa gnieźnieńskiego, proboszcz gnieźnieński, przeszedł na stronę reformacyi (1540.) W jego ślady rzuciło się wielu świeckich księży i zakonników, z których jedni pełnili później obowiązki duchownych w innych wyznaniach, drudzy zrzekłszy się swego stanu, oddali się zatrudnieniom światowym. Albert, książę pruski, siostrzeniec Zygmunta I., zwabiwszy do państw swoich kilku uczonych Polaków, wydawanemi przez nich pismami zarzucał naród i do reformacyi niemi sposobił. Stan religijny w ówczas w Polsce, śmiało przyrównać można do starego gmachu ze wszystkich stron burzonego, gdy tym, co go ruinowali, odbudować nowy, sił zabrakło; bo każdy chciał go mieć w innym kształcie. Jedni, zwłaszcza niemieccy mieszkańce Polski, chcieli go wznosić podług zarysów Lutra; drugim podobała się bardziéj budowa Kalwina; innym znowu zdawało się, że dogmata obudwóch trącą za nadto katolicyzmem i upatrywali oni doskonałość w nauce Serweta i Socyna; inni nakoniec chcieli wznieść budowę narodową, byle odmienną od wszystkich zagranicznych.

A tak Polska zostając pod względem religijnym w zupełném rozprzężeniu, stała się wielką zajezdnią, do któréj wszystkie sekty z Niemiec, Francyi, Szwajcaryi i Włoch swych mistrzów i nauczycieli gromadziły; a jak Krzysztof Endorfin, Lipczanin, przywołany został od Jana Latalskiego, biskupa poznańskiego (1530), na nauczyciela języków starożytnych przy szkole lubrańskiéj, tak Maciejowski, biskup krak., w tym samym zamiarze sprowadził do akademii krak. Franciszka Stankara, Włocha. Jak tamten naukę Lutra w Wielkiéjpolsce, tak ten Kalwina i Zwingla w Małéjpolsce rozkrzewiał. Jak zaś Stankar dalece wpływał na losy ustalenia reformacyi w Polsce, jak do jéj rozkrzewienia się przykładał, jakich doznał w Polsce kolei i odbył walki z ówczasowymi teologami, zamierzyłem tu opowiedzieć, z tém milszém dla siebie przekonaniem, że przedmiot ten w piśmie niniejszém nieznalazłem dotąd tkniętym.

Franciszek Stankar, Włoch, urodzony w Mantui z początkiem XVI wieku z ojca Michała, chorążego księstwa mantuańskiego. (1) Pochodził z krwi domu panujących książąt; człowiek uczony, ale niespokojny, więzień w Wenecyi, wygnaniec z Włoch, jako nowator rozsiewający nauki odrębne od zasad religii kościoła katolickiego; tułacz po Szwajcaryi i Niemczech, przesiąkły nauką Zwingla. Z początkiem 1550 roku przybył do Polski, i na żądanie Samuela Maciejowskiego, biskupa krak., objął katedrę języka hebrajskiego w uniwersytecie krakowskim, opieką tegoż i hojnością utworzoną. W Polsce z początku dobrze przyjęty, jak równie szacowany z biegłości w językach starożytnych, rozpoczął swoje prelekcye w uniwersytecie; lecz gdy po nie długim czasie rozmaite robić wnioski nad Psalmami Dawida, w duchu przeciwnym nauce wyznania katolickiego, a w szczególności, gdy nowe zasady i mniemania o *czci świętych* rozsiewać począł; uwiadomiony, jak niemniéj przekonany biskup Maciejowski o niebezpiecznych kacerskich zdrożnościach Stankara, osadził obwinionego w mocnym zamku lipowieckim, o pięć mil od Krakowa odległym, aby za śmiałe i otwarte głoszenie zdań nowéj religii ciężkie odsiadywał więzienie. Z tak atoli warownego uwięzienia, przeznaczonego na przestępców duchownych lub otwartych nieprzyjaciół katolicyzmu, przy staraniu i troskliwéj pilności przyjaciół, Stanisława Lassockiego, podkomorzego łęczyckiego, Andrzeja Trzecieskiego i Krzysztofa Glińskiego, jako też pomocy sługi swego Piotra Czarnego, z okien więzienia po sznurze ukręconym z pokrajanych chustek szczęśliwie spuściwszy się, z obronną ręką od powyższych pod zamkiem oczekiwany, z radością pochwycony, tajemnie w bezpieczném trzymany był miejscu, dopóki się nie dostał w dom Stanisława Stadnickiego, dziedzica Dubiecka, (2) pana ile możnego, tyle nowościom przychylnego, od którego przyjęty mile, zajął się na jego żądanie urządzeniem szkoły, która przy hojnéj opiece i staraniu założyciela, z czasem wzrosła do takiéj sławy i znaczenia, iż 5 liczyła zwyczajnych nauczycieli, a więcéj jak od 30 szlacheckiéj młodzi uczniów zapełnianą bywała i trwała w téj świetności do śmierci Stadnickiego, po którego zgonie wraz upadła.

Stankar z Dubiecka udał się w dom Hieronima Filipowskiego, do Chrzęcic w Małéjpolsce, z kąd wkrótce przybył do Pinczowa do Mikołaja Oleśnickiego, dziedzica i pana tegoż miasta, który obok niezwykłéj ludzkości i gościnności, nie lękając się bynajmniéj gniewu biskupa, i nienawiści tylu niechętnych sobie, do domu swego przyjął, dał przytułek i wszelkie schronienie, nadto kościoł według nowo reformowanéj wiary urządzić polecił. Stankar wieczerzy pańskiéj używania sposób pod dwoma postaciami chleba i wina przepisał, obejścia się nauczył; sakrament kapłaństwa za nic będący, mszą św. za bałwochwalstwo, obrządek chrztu bez użycia wody, posty kościelne, obrazów cześć za niepotrzebne ogłosił i ustanowił. Oleśnicki, z kościoła i klasztoru OO. Franciszkanów szczodrobliwością swego pradziada Zbigniewa, biskupa krakowskiego i kardynała, kosztownie wystawionego i świetnie opatrzonego, mnichów uciemiężając wyrugował; obrazy świętych wyrzucone pokruszyć i spalić rozkazał. (3) Czyn ten

(1) Świadczy przywiléj Zygmunta Augusta, króla pol., w Okolskiego: Orbis Poloni. Tomie III. str. 108.

(2) Dubiecko, w dawném województwie ruskiém, dziś w obwodzie saneckim, w Galicyi.

(3) Świadczy Stanisław Lubieniecki, in Historia

gwałtu i fanatycznéj śmiałości, dokonany na mnichach i ich klasztorze, nie przeszedł Oleśnickiemu tak gładko. Zapozwany przed sąd biskupa krakowskiego, na który gdy się nieskromnym stawił i nim pogardził, odesłany został do sądu samego króla. „Tu w obec króla (mówi Orzechowski w Kronice trzeciéj) Andrzéj Zebrzydowski, biskup kujawski, wyliczył w wielkiém uciszeniu się wszystko, co przeciw Bogu i przeciw jego kapłanom Oleśnicki popełnił, jako sposób odprawiania mszy św. od Stankara przepisany utrzymywał, że ani nabożeństwa nie odprawiał, ani się po ojczystemu nie modlił. Jako święte naczynia z kościoła pobrał, jak księży owego kościoła uciemiężał, jako na miejscu ich nabożników zbiegów, zkąd inąd wygnanych, przyjmował, i jako do wzgardy praw i zwierzchności w państwie, był dla innych powodem. Słuchał tego pełen bojaźni Oleśnicki, za którym miał mowę Mikołaj Oksza Rej z Nagłowic (poeta przyrodzony polski), ile w tak wielkim Oleśnickiego razie dosyć, jako się zdawało, do rzeczy. Składał bowiem ten występek na zakonników, których niecnotliwego i sprośnego życia gdy ludzie w mieście cierpieć nie mogli, nie masz dziwu, chociaż z tamtąd uszli, gdzie się zostać przed świadkiem sumienia nie mogli. Że on żadnéj nowéj nie wyznaje religii, jak tylko że ją z błędów oczyszcza; Stankara zaś jedynie tylko, jako uczonego człowieka przy sobie trzyma.“ Kazano ustąpić Oleśnickiemu, a radzie wotować; Jan Tarnowski, kasztelan krakowski, ostrą rzecz uczynił, aby szerzący się luteranizm powściągnąć powagą praw na kacerzów przepisaną i obwinionego według nich ukarać; zdanie to gorliwie popierali Zebrzydowski, bisk. krak., Piotr Kmita, wojewoda krak., i wielu innych. Lecz Walenty Dembiński, kasztelan biecki, pomiarkowaną mową ułagodził wzburzone surowością prawa umysły przeciw Oleśnickiemu, prosząc raczéj, aby król dla tak zacnego imienia darował i błędom młodego wieku wybaczył, a nie prawem, lecz zwykłą łaskawością postąpić sobie raczył. Król przeto wyrok swój przez usta Jana Tarnowskiego ogłosić kazał: aby Fr. Stankara Oleśnicki od siebie oddalił, Boga chwalił ojczystym trybem, nabożeństw cudzoziemskich poprzestał, zakonnikom i nabożeństwu ich nie przeszkadzał, i aby tego pod zakładem 1,000 czerwon. złotp. dotrzymał. Oleśnicki niby powolny wyrokowi, wkrótce na oddalenie od siebie Stankara zezwolił; mnichów zaś przyjąć długo się ociągał, po wielu przecież namowach dozwolił im powrotu z zastrzeżeniem, aby odtąd przyzwoite prowadzili życie. Nie długoć atoli po swym powrocie gościli w klasztorze, gdyż w krótce z Pinczowa z własnéj ustąpili woli, a klasztor ich zamieniony został na szkołę. (4)

Reformationis Poloniae. Freistadi a. 1685. w księd. I., stron. 31.

(4) Histor. Eccles. Slavonic. Regenvolscii p. 228.

Lubieniecki, gorliwy reformacyi wyznawca, świadczy (5), iż Oleśnicki po téj sprawie nabrawszy więcéj odwagi do rozszerzania boskiéj nauki nowego wyznania, kościoł dla tworzącéj się sekty r. 1550. w Pinczowie zbudować kazał z gruntu (poprzednio już w zamku założony), i pomimo wydalenia Stankara nieustawały owe przez niego zaszczepione nauki, ale owszem wprowadzone w wykonanie, co raz się więcéj szerząc, po wielu zacnych rozmnażały się domach. Przybywali do Pinczowa nowi ministrowie, jako to: Marcin Krowicki, pleban z Wiśni z dyecezyi przemyślskiéj, świeżo ożeniony w Żurawicach, wsi dziedzicznéj Stanisława Orzechowskiego, z Magdaleną Stanisława Pobiedzińskiego córką, od Jana Dziaduskiego, biskupa swéj dyecezyi wygnany, który zastępował miejsce Stankara w pełnieniu obrządków, i głoszeniu jego ustaw. Oleśnicki niemniéj dawał chętnie przytułek u siebie wszystkim pod ten czas uczonym, za nowemi zdaniami w religii idącym, dla czego téż w krótkim czasie Pinczów wzrósł w najuczeńszych prawie ludzi siedlisko; tu Jan Łaski, Jerzy Blandrata, Fran. Lizmanin, Grzegorz Szoman, Grzegorz Pauli, Andrzéj Trzecieski, Piotr Statoriusz, Marcin Krowicki, Jakób Lubelczyk, Bernard Ochin, Grzeg. Orzaciusz i innych wielu, składali tak zwane: *Ateny sarmackie.* (6) Ciż sami uczeni zajęli się piękném wytłumaczeniem na język ojczysty *Biblii.* Hymny dla ludu nowéj sekty ułożyli i wiele innych nabożnych ksiąg napisali. Biblią tę Mikołaj, książę Radziwiłł, wojewoda wileński, przezwany *Czarnym*, założywszy własnym groszem drukarnią w Brześciu litewskim, do któréj Bernarda Wojewodkę, drukarza krak., sprowadziwszy, wydać poruczył. Pyszne to wydanie wyszłéj biblii z druku roku 1563., kosztowało przeszło 3,000 czerw. złotych.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Wyjątek z dzieła drukiem dotąd nieogłoszonego: *Miasta, góry, doliny i t. d.*

(Dalszy ciąg.)

Cienie coraz dłuższe, słały się przed nami. Wkrótce przyszedł pomrok, w końcu i noc przyszła, noc bez księżyca, bez gwiazd, ciemna, straszliwa.

Górale coraz mniéj zapewniającym tonem nas spokoili, coraz mniéj rozpoznać się mogli, niebezpieczeństwo było niewątpliwe, widoczne. Jednak, naprzód postępować musieliśmy koniecznie, bo nawet rzadko gdzie znalazło się dość płaskiego miejsca, gdzieby ośm wózków stanąć mogło; lecz postępowano, jak można najwolniéj,

(5) In Historia reform. pol. w księd. I. str. 33.
(6) Lubieniecki, Hist. refor. pol. str. 31. i 33.

a każdy co chwila silniéj czuł potrzebę przybycia.

Około północy ciemność już tak była gęsta, że o jeden krok nic rozróżnić niepodobna było. Jednym się snuły jakieś straszne widziadła przed oczami, drugim rozmaite o rozbójnikach wieści, tysiącznie w tamtych stronach powtarzane, na myśl przychodziły, gdy raptownie na boku niezbyt daleko ujrzeliśmy światło.

Ogień! ogień! zawołaliśmy z razu wszyscy z radością taką, jak żeglarz woła: ziemia! ziemia!

— „Może to rozbójnicy?“ jakiś się głos ozwał.

— „Nas taka gromada, a każdy ma broń,“ odrzekł drugi; „nic nam nie zrobią.“

— „Obeszłoby się jednak bez tego spotkania,“ dodał trzeci.

— „Obeszłoby się,“ powtórzono.

Zaraz posłano kilku w tamtę stronę. Byli to nie rozbójnicy, tylko owczarze. Było ich dwóch. Powiedzieli nam, że już niezbyt daleko do naszéj mety, i za dobrą nadgrodą podjęli się nam przewodniczyć, przyświecać.

Radość i spokój, wstąpiły w dusze nasze.

Owczarze osmoleni i czarni, zapalili dwie duże sosny, a potrząsając je nad głową krocie sypiąc iskier, zupełnie do szatanów podobni, rzucali odblask czerwonego światła na te urwiska i strugi, na te poprzewracane drzewa i skały, na ten cały nieład natury, który wówczas coś miał w sobie do piekła podobnego. Było to wspaniałe i malownicze: lecz, że ja nigdy dokładnego wyobrażenia o piekle nie potrafiłam sobie utworzyć, bardziéj mi to jakiś paryzki balet przypominało, i bawiłam się tym widokiem, jakbym na nowém była widowisku.

Nie długo atoli ta rozrywka trwała. Sosny suche, z zapasu owczarzy wzięte, niebawnie się spaliły. Inne na drodze podniesione, mokre, mimo usiłowań palić się nie chciały. Okropna ciemność, znów nas otoczyła. Niebezpieczeństwo i trwoga na nowo powstały. Lecz owczarze mówili, że już bardzo blisko, że drogę na pamięć znają, obiecywali szczęśliwie nas doprowadzić.

W parę kwadransów, wózek mój stanął. Powiedziano, żeśmy przyjechali, że już wysiąść można.

— „Ale w którą stronę?“ zapytałam. „Tu gdzieś, jak mówiono, jest domek, a zatém mieszkańcy i ogień. Trzebaby poprosić, żeby nam poświecono, bo nic wcale nie widać.“

— „A któżby tu mieszkał?“ ktoś mi odrzekł z uśmiechem. „Dom jest, to prawda, ale nic więcéj.“

Ani mi przyszło pierwéj na myśl, że może być dom bez ludzi.

Wówczas się dowiedziałam dopiero, że całém schronieniem dla nas biednych podróżnych będzie strzecha, tylko sama strzecha, a żadnego przytułku, najmniejszéj nieznajdziem obcéj pomocy!

Podano mi rękę; wprowadzono po kolczastych szyszkach i krzemieniach na jakąś kładkę; zalecono, bym się poręczy jéj trzymała. I poręcz i kładka, wszystko się trzęsło i chwiało podemną. Pod kładką słychać było bystro płynącą wodę. Było to zawiadomienie, iż jeden zboczony krok, niezawodną śmierć przyrzeka.

U końca kładki znalazły się drzwi, szczęściem otwarte. Wysoki próg przebywszy, domyśliłam się, żeśmy już w domu. Oparłam się o ścianę, a pan Tytus zabrał się do krzesania ognia; już rozświecać zaczął, gdy bratowa jego ukazała nam się we drzwiach, a załamując ręce: „Wiesz pani,“ rzekła z boleścią do mnie, „że daleko mędrszych od nas u Bonifratrów zamykają!!“

Ta jéj postać tragiczna, ten ton patetyczny obok radości, iż wszystkie niebezpieczeństwa tak szczęśliwie przebyła, że już wszystko za nami, takiéj mię wesołości nabawiły, iż się serdecznie śmiać poczęłam. Śmiech mój pobudził innych, wszyscy śmieli się z nierozsądku przedsięwzięcia téj nocnéj wyprawy, ciesząc się, że nie mamy do płakania nad nim.

Gdy zapalono świece, przystąpiliśmy do zwiedzania pałacu naszego.

Było w nim sztuk trzy: Sionka wprawdzie nie duża, bo ledwo sześć stóp kwadratowych miała; za nią takichże wymiarów kuchenka; a w bok, duża jedyna izba, w któréj dwa okna, bez ram i szyb, lecz z okiennicami, dwie ławki, stół jeden i drzwi; te spaczone nie zamykały się. W braku okien, na belkach i po ścianach pełno napisów, poezyą miejsca natchnionych.

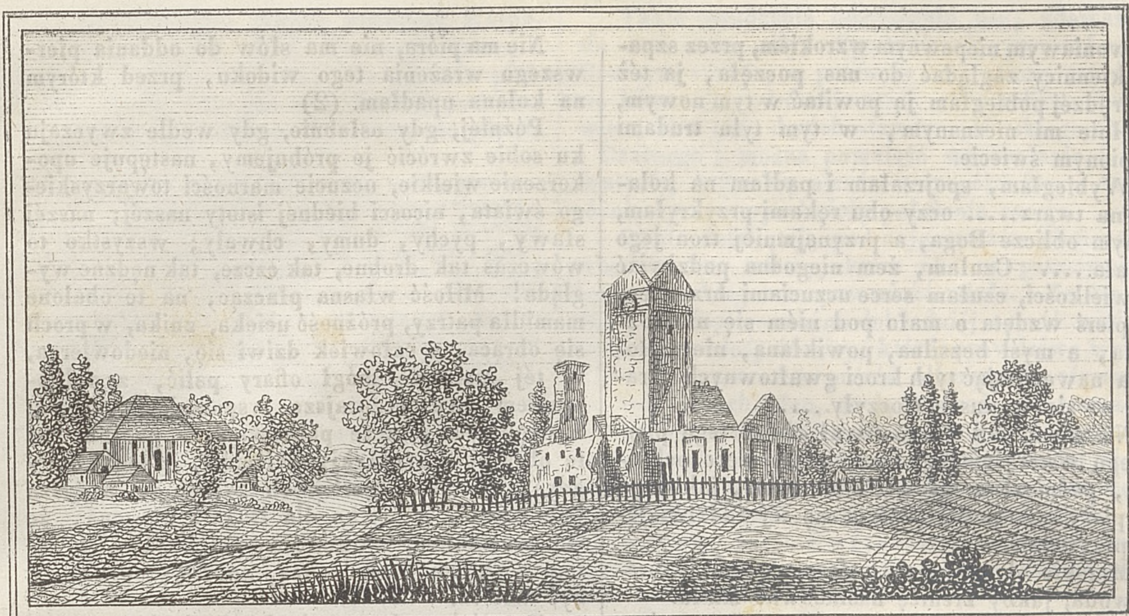
Na kuchni rozłożono ogień, nastawiono wody. Pan B***, który miał herbaciany wydział, (bo między nami, każdy dla porządku miał swój wyłączny) zajął się pączem i herbatą.

Wydobyto z wózków słomę: nam za materace służyć miała; a z téj jedynéj izby zrobiono dwa apartamenta. Jeden dla pani T*** i jéj kuzynki, drugi dla mnie. Pod przewodnictwem grzecznego wynalazcy tego przemysłu, ławki jedna na drugiéj postawiona, pokryte kobiercami, utworzyły doskonałą ścianę i wygodny dla mnie gabinet. Mężczyzni mieli się w sionce mieścić, ludzie pod strychem.

— „Lecz dla koni, czy jest tu jaki kątek?“ zapytałam. „Czy téż pamiętano siana i owsa im przywieść? słomy im trochę do podesłania zostawić? one, co nam tak wiernie służyły, co się czasem zdawały ostatniéj wydobywać siły, by wózka w tył nie puścić!“

Wyśmiano się ze mnie, mówiąc, że te konie w życiu owsa nie widziały, ani na słomie nie leżały.

Zaraz po przybyciu, Górale je zwykle wyprzęgą i puszczą, własnemu je zostawując przemysłowi. Biedne stworzenie, przez cały dzień



Z natury rys. M. Bogusz Stęczyński 1841. w Sierpniu.

Szczątki klasztoru XX. Karmelitów - Missyonarzy pod Głogowem, w okręgu rzeszowskim.

męczone i bite, całą noc po opokach się włóczy, szukając jakiego bądź pożywienia, samo do wody po napój trafi, a nad rankiem, samo wraca do pana, jakby zapytując, czy już go potrzebuje, czy ma już na nowo swą okrutną służbę zacząć!

Nazajutrz własnemi oczy widziałam, jak wracały. Żałowałam, żem nie poetą; byłabym odę na ich cześć napisała.

Po herbacie i nowéj gawędce, gdzie każdy swe przygody z owego pamiętnego dnia opowiedział, udaliśmy się do spoczynku.

Od pół godziny może, obolałe członki na miękiéj wyciągałam słomie, i już sen mnie trochę ogarniał, gdym usłyszała za ścianą szelest i przytłumione wołanie: Złodziéj, złodziéj! łapaj go, trzymaj....

Potém nastąpiły śmiechy.

Był to jakiś Góral zmokły i zziembnięty, który przez okiennicę zobaczywszy tlejący jeszcze na kuchni ogień, usunął ją i cicho dla ususzenia się wlazł, bo gdzieś przypadkiem wpadł był w wodę. Przestrach jego, gdy, jako złodziéj widział się ujętym, stał się śmiechu powodem.

Znów wszystko ucichło, i na nowo już mi się zlepiały powieki, kiedy nowa do snu znalazła się przeszkoda.

Zerwał się raptownie niesłychanie silny i świszczący wicher. Ściany domku naszego skrzypieć i chwiać się poczęły. Zdawało się chwilami, że wszystkie jego wiązania puszczą, że w kawałki pójdzie, lub, że go całkiem wiatr porwie i razem z nami gdzieś poniesie.

Wkrótce i grzmot coraz bliżéj dał się słyszeć.

Bardzo byłam ciekawa burzy w Karpatach. Nieraz myślałam, że to musi być rzecz godna widzenia. Wstałam z cicha, by nie przebudzić śpiących i usunęłam okiennicę.

Lecz ciemność była tak wielka, że nic dojrzeć nie mogłam, a lubo błyskawice pruły czarne chmury, blask ich padał tylko na same skał wierzchołki, a moje chwilowo zaćmione tym blaskiem oko, niemogące żadnego sobie utworzyć wyobrażenia o zupełnie mu obcém miejscu, wcale nie zadowolone do ciemności wracało. Bardziéj mnie zajmowało echo grzmotu, które tysiącznie o głazy odbite, coraz daléj, coraz słabiéj się odzywało, a w końcu powoli ginęło w przestrzeni.

Burza ta nie taką była, jak ja jéj żądałam, jak ją naprzód myśl mi przedstawiła; nie była godna Karpat, ani zakończenia nocnéj podróży naszéj, pełnéj niebezpieczeństwa, trwogi i zuchwalstwa, pełnéj obrazów i wrażeń, które się jeszcze nie były w méj duszy uśpiły. Żaden piorun pod nogi mi nie padł, żadna skała się nie rozsypała, żadne nawet drzewo nie spłonęło. Widząc, że się grzmot oddala, prawie rozgniewana wróciłam do łóżka, słuchając tylko przeraźliwego wichru, zapytując czy rychło całe nasze domostwo porwie i poniesie.

Nad rankiem wszystko ucichło. Zorza swym

czerwoniawym niepewnym wzrokiem, przez szpary okiennicy zaglądać do nas poczęła, ja też co prędzéj pobiegłam ją powitać w tym nowym, zupełnie mi nieznanym, w tym tylu trudami okupionym świecie.

Wybiegłam, spojrzałam i padłam na kolana, na twarz..... oczy obu rękami przykryłam, jakbym oblicze Boga, a przynajmniéj tron jego ujrzała..... Czułam, żem niegodna podziwiać téj wielkości, czułam serce uczuciami brzemienne, pierś wzdęta o mało pod niém się nie rozpękła, a myśl bezsilna, powikłana, nie usiłowała nawet objąć tych kroci gwałtownych wrażeń, co się w duszę tłoczyły.....

Nie wiem, jak długo trwał obłąd tego pierwszego wstrząśnienia; lecz, gdym nieco ochłonęła, podniosłam głowę i na nowo, jakby po raz pierwszy, przyglądałam się téj zadziwiającéj przyrodzie.

Morskie oko, jest to jezioro okrągłe, którego woda, jakby źrenicę naśladować miała.

Szmaragdowéj zieloności od brzegów, w środku zupełnie jest czarna. W około niego piętrzą się góry i skały, rozmaitych wielkości, najdziwaczniejszych kształtów, szczególnych kolorów. Czasem siwe, lub czerwone, zupełnie nagie, czasem białe pokryte przedpotopowym śniegiem, który ścisły i twardy, nigdy nie znika, żadnego nie lęka się upału; to zielono omszone, lub miejscami szpilkowém porosłe drzewiem. Szczyty ich, jakby chciały niebu grozić, z chmurami sobie igrają; to raz czoło niemi zdobią, to na swém łonie, lub u nóg im tylko spoczywać dozwalając, w wyższych obłokach kryją się, w nieskończoności giną, ją tylko godną siebie uznając. Z nich tysiące pienistych wodospadów leci, a u stóp krocie wytryska źródeł. Od północy rzeczka Biała głośno po kamieniach szumi, pod gościnną chatką naszą siostra jéj skromniéj także do Morskiego oka spieszy.

Lecz te wszystkie szczegółowe piękności, którychby wyliczyć niepodobna, zdolne gdzie indziéj obudzić uwagę i podziw, w téj pysznéj całości zupełnie zrazu znikają. Widzi się tylko wielkość bez miary; dumną, srogą, majestatyczną naturę, co wieki na sobie nosi i z wieków się śmieje, co wszystko przetrwała i wszystko przetrwa, przed którą czas skrzydła opuścił, a słońce straciło władzę. (1) Widzi się i drzy przed tém dziełem olbrzymiém, godném ręki, która jedném zapewne skinieniem je utworzyła, godne podnóża tronu Wszechwładzcy światów. Tam wszystko nieskończoność Jego objawia, wszystko jakimś nowym językiem do serca o Bogu przemawia, jakby głos jego raptownie dał się nam słyszeć, jakbyśmy dotąd jeszcze nieznaną ujrzeli całą potęgę Jego.

---

(1) Tam bowiem wegetacyi nie ma, a śniegi nie topnieją.

Nie ma pióra, nie ma słów do oddania pierwszego wrażenia tego widoku, przed którym na kolana upadłam. (2)

Późniéj, gdy osłabnie, gdy wedle zwyczaju ku sobie zwrócić je próbujemy, następuje upokorzenie wielkie, uczucie marności towarzyskiego świata, nicości biednéj istoty naszéj; naszéj sławy, pychy, dumy, chwały; wszystko to wówczas tak drobne, tak czcze, tak nędzne wygląda! Miłość własna płacząc, na te obalone mamidła patrzy, próżność ucieka, znika, w proch się obraca, a człowiek dziwi się, niedowierza, iż téj mamonie mógł ofiary palić, z politowaniem swe wczorajsze wspomnienia usuwa, z większém jeszcze politowaniem pogląda na te obrączki, krzyżyki, świecidła, ozdóbki, niegdyś przedmioty gorliwych życzeń — a dusza jego czuje, że tylko dla Boga stworzona, że On początkiem, On końcem, On i tylko On całém uczuciem, całą żądzą, nadzieją, dążnością być winien.

Trapiści tamby powinni na nowicyat posyłać. W kilka dni mieliby ludzi doskonale ze świata uleczonych.

Nie wiem, jak szerokie i jak głębokie jest Morskie oko. Ciekawi niech się udadzą do Galicyi malowniczéj, doskonalszéj w wyliczaniu, niż do malowania zdolnéj. Ona także niech powie, na jaki koniec stoi tam jakiś karli pomniczek, którego celu się nie domyśliłam; wnoszę, iż chyba dla pomnożenia przedmiotów, porównania dzieł ludzkich z Boskiemi. (3)

---

(2) W liście, com ztamtąd pisała, tak się, ile pomnę, wyrażam: „Trzebaby ze skrzydła tych gór Jemusza pióro wyrwać i zmaczać w słońca promieniach, byci dać odległe wyobrażenie, co się we mnie dzieje, co to za miejsce, jakie wrażenie sprawia!“

(3) Galicya malownicza tak pisze:

„W dolinach, w pośród wysokiego grzbietu głównych Karpat (Tatrów), leżą, tak na północnéj, jako też południowéj stronie tychże, począwszy od tak zwanych Koperszczadów (Kupferschäfte) aż do góry Rohaes, jezioro górskie od mieszkańców tamtejszych, także pleszami, lub morskiemi oczami zwane, w wysokości 4,000 do 6,300 stóp. Krąży o nich dotąd między gminem podanie, że z morzem w podziemnym związku stoją, będąc niejako oczami morza w lądzie stałym — i że się także burzą, skoro tylko fale morskie srogą nawałnością miotane bywają; miano nawet w tych jeziorach znachodzić, to szczątki dużego okrętu, to inne do żeglugi potrzebne sprzęty. Jeziora owe położone są swemi przemiernikami długości mniéj więcéj prostopadle ku głównemu grzbietowi, żadne z nich nie jest w zbliżeniu równo odległe; a same nawet okrągłe jeziora, pod toż samo dają się podciągnąć prawo. Głębokość ich znaczna. Już 20 jezior takich opisano, jednakże więcéj jest ich daleko. Te, które w jednéj formacyi górskiéj tylko, lub na granicy dwojga, jako to: między granitem i wapieniem, między granitem i łupkiem błyszczowym, albo między granitem a gneizem leżą, winny swe powstanie niewykończonym kształtom dolin, lub w połączeniu z takowemi przedwczesnemu osadowieniu się gruzów i złomów kamiennych, tworzących na ukos przez doliny wały, i przeszkadzających upływowi wody zjawiającéj się. Ostatnia ta wolność najjawniéj się na naszém Morskiém oku pokazuje, gdzie

Ci, co dokładnie pragną zwiedzać Karpaty, z Morskiego oka idą do Czarnego stawu, a ztamtąd do Siedmiu stawów. Ta ostatnia pielgrzymka piesza (bo już tam inaczéj podróżować niepodobna), zabiera dni cztery do pięciu.

Takie utrudzenie odstraszyło nas; zdawało się nad nasze siły. Zgodzono się przestać na Czarnym stawie, a potém w inną stronę zwrócić kierunek wędrówki naszéj. Słyszeliśmy bowiem, iż z tych dwóch stawów (Morskiego oka i Czarnego) można powziąść wyobrażenie i o tamtych, które się niczém szczególniejszym nie różnią, prócz wysokością położenia swego.

Około dziesiątéj, pod najgorętszém słońcem weszliśmy na tratwę, która nas na przeciwny brzeg Morskiego oka przewieźć miała. Ze środka jego dopiero można dokładniéj ocenić wielkość téj wodnéj źrenicy, któréj prawdziwe wymiary giną z razu w pośród olbrzymich, niczém nie zrównanych ścian, co ją otaczają. Kryształowa przejrzystość jéj szmaragdowéj wody, przez które długi czas każdy na gruncie widzi się kamyczek, wznieca ochotę razem z nim się w niéj się skąpać, przyzywa na myśl Rybaka Götego, i nasze Świtezianki. Każdy im zazdroszcząc, powtarza: „O, jak tam dobrze na dnie być musi!“

Lecz, gdy ta miła oku zieloność, w czarny zmienia się kolor, gdy w niéj wszystko niknąć poczyna, a w końcu zupełnie w głębi znika, ta czarna nieznurtowana pod nogami przestrzeń,

---

na przodzie obrazu widać część owego wału, pierwsza zaś własność piętnuje jeziora za Krywanem położone.

Często powtarzanemu mniemaniu, jakoby wszystkie te jeziora swe powstanie wypłukaniu winne były, sprzeciwiają się już same prostopadło w takowe wpadające ściany skaliste i znaczna głębokość jezior. Głębokość ta wprzód jeszcze, nim odpływające wody tak głęboko sobie wyrzuciły doliny, pewnie była znaczniejszą i dotąd jeszcze w równym stósunku z wysokiemi jezior otaczającemi massami być się zdaje. Znacznie ona umniejszyła się w jeziorach w wapieniu leżących, przez osadę z wód słodkich pochodzącą, a we wszystkich zaś jeziorach bez wyjątku przez wielkie massy gruzów, które od lat tysiąca w takowe z otaczających brzegów spadały. Pokazują to niektóre jeziora bardzo wyraźnie przez skały wystające po nad ich powierzchnią; a w niektórych dolinach chodzi się teraz po rumowisku; po pod którém przez rozpadliny widać z szumem odpływającą wodę.

Morskie oko, od pogranicznych Węgrów zwykle wielkiém, lub polskiém rybiém jeziorem zwane, leży na granicy krainy Kozio-drzewiny i lasów, to jest: na wysokości 4,200 stóp, a podług wymiaru w oddaleniu 8,800 sążni, lub koło 2 1|2 mili od domu leśniczego we wsi Bukowinie i 4,000 sążni lub mili od wyjścia Białki z gór wysokich. Jest ono największe pomiędzy jeziorami głównych części Karpat. O obszerności takowego nieraz przesadzone udzielano wiadomości, miara powierzchni wynosi bowiem 56 morgów 411 sążni kwadratowych, mając w okręgu blizko 4,200 stóp, szerokie jest 500 stóp, przeszło 1,600 stóp długie i na południowo-wschodniéj stronie, gdzie najgłębsze 32 sążni czyli 192 stóp wiedeńskich głębokie. Tworzy ono prawie całkiem regularnie podługowatą okrągłość z doskonale gładkiem zwierciadłem, jednakże stojącemu na północnym brzegu takowego, wydaje się być okrągłém. Chcąc obejść całe jezioro, potrzeba dwie godzin, ponieważ gruzy i skały chód bardzo utrudniają, aczkolwiek cały obwód nie spełna pół mili wynosi.

Południową stronę jeziora rybiego czyli Morskiego oka, otaczają nagie, od 2,000 do 3,000 stóp wysokie prawie, prostopadłe góry granitowe perłowo szaréj barwy, u których stóp jeszcze w Sierpniu rozległe pola śnieżne (zleby) się rozszerzają. Góry te najeżone są kończystemi i od północno-wschodniéj strony przypierają do góry Wysoka. Pomiędzy wszystkiemi temi cudownie pięknemi i malowniczemi górami, wyszczególnia się mianowicie wierzchołek Mnich zwany, leżący na południowo-wschodniéj stronie jeziora swoim do ludzkiéj postaci podobnym kształtem, swym ostrym ku wschodowi nieco zakrzywionym szczytem i swą prawie prostopadłą aż do płaszczyzny wodnéj pochyłością, która w nas budzi zadziwienie, chociaż góra ta wysokością swoją, ledwie do dwóch trzecich części innych sięgać się zdaje. Od strony południowéj można jednakowoż dojść aż do wierzchołka, zkąd się nie do opisania cudny widok odkrywa.

Od wschodniéj strony wznoszą się skały wapienne, a od zachodu wysokie góry granitowe, perłowo-szaréj, nieco w zieloną wpadającéj barwy, prawie bezpośrednio z jeziora, jednakże nie tak bystro, jak wieże strony południowéj. W wielu miejscach spada na dół woda z niezmiernéj wysokości, w niezliczonych wodospadach i ginie w jeziorze. Kończyste wierzchołki tych to skał porozdzielane są głębokiemi parowami, lub wązkiemi grzbietami z sobą połączone w najrozliczniejszych kształtach. Skały koło jeziora prawie całkiem są nagie, tylko tu i owdzie rosną w niektórych szczelinach i rozpadlinach, także na granicy pół śnieżnych rzadkie rośliny górskie, pomiędzy temi łomnikamień syberyjski, porosty i mchy; ucierpiały one jawnie wiele przez sponiewieranie i nabyły przetoż mniéj więcéj białawo-szaréj, lub białawo-zielonéj barwy; świecące kryształy kwarcowe, dodają przy świetle słoneczném więcéj blasku ścianom granitowym. U stóp skał ścielą się kopce rumowisk, sięgające aż do 1|4 części ich wysokości, tu i owdzie kozią drzewiną porosłe.

Ku północnéj stronie jeziora, ciągnie się na poprzek przez długi wązki wał zawalonéj góry, wznoszącéj się blizko 60 do 80 stóp po nad powierzchnią wody. Przez środek takowego, utorowało sobie ujście jezioro, podzieliwszy go na dwie prawie równe części. Ujście to, daje życie Białce, rzece, która od początku, aż do połączenia swego z Dunajcem, tworzy granicę między Galicyą a spizską stolicą. Od północnéj strony Morskiego oka, rosną bujne borówki, paprocie i t. p. na tym wale, jednakże mało koziodrzewiny i sosen, pomiędzy któremi jednakowoż coraz rzadsze się stające drzewo limbowe (Pinus cembra) napotkać można.

Woda ma koło brzegów jasno-zieloną barwę, w niektórych jednakże miejscach, tak na krajach, jakoteż w środku Morskiego oka, wpada ona w ciemno zieloną i czarniawą, co oznaczać może bagniste, lub rośliną Conferva fontinalis porosłe miejsca. Przytém woda niezmiernie jest czystą, a w czasie ciszy, jeżeli się góry w swych cudnych kształtach mocno odbijają na gładkiéj powierzchni, po któréj na bezpiecznéj w pogotowiu stojącéj tratwie płynąć można, widać jeszcze bardzo wyraźnie w głębokości 8 do 10 stóp kamień na spodzie jeziora i ryby w głębinie pływające. Podczas, gdy dnia 14. Sierpnia o drugiéj godzinie w południe temperatura powietrza + 18,3° pokazywała, miała woda + 8,2° R.

Pstrągi (Salmo tatricus. Jaroc.) nowy gatunek, żyjące w jeziorze rybiém, które podczas pięknych wieczorów przy ujściu najwięcéj przebywają, są nader chude dla braku dostatecznego pożywienia, gdyż woda Morskiego oka mało śladów żyjących w nich robaków i owadów pokazuje, wszelakoż pstrągi te ułowione i w niższéj Białce utuczone, mają być wyśmienite.“

żałobnym płaszczem wszelkie tajemnice swego gruntu i źródła pokrywająca, tworzy i przeraża. (4)

Gdyśmy wylądowali, pokazano nam opokę, na któréj Czarny staw swe mieszkanie obrał, a przez którą my do niego dojść mieliśmy. Jeśli kto chce powziąć o niéj wyobrażenie, niech sobie wystawi trzysta sześcio-piętrowych kamieni, jeden na drugi postawionych, w których gdzie niegdzie opadły mur, lub jakiś architektoniczny wyskok, zostawia sposobność postawienia połowy stopy, obok przekonania, iż za jednym chybionym krokiem, można z samego wierzchołka koziołkiem w Morskiém oku się oprzeć.

Ten widok tak niektórych z nas zatrwożył, iż odstąpili od zamiaru téj miłéj przechadzki, polecając nam uwagi i postrzeżenia, spuszczając się na dokładność opisu wrażeń naszych.

Wrażenie to dało się łatwo wiernie dochować. Przechodząc oczekiwania, było ono silne, wielkie, straszliwe.

Czarny staw, jest stolicą śmierci. Ona tam na wszystkiém swe panowanie szerzy, w około siebie szeroki rozpostarła całun. Tam wszelka wegetacya ustała, żadnego nie dojrzysz w powietrzu ptaszka, żadnego żywiołu na ziemi, żadnego płazu w wodzie. Wszystko martwe, ponure, żałobne, a najbardziéj sam staw, którego woda tak jest czarna, jakby kirem pokryta, lub go pokrywała. Nieustające wichry swém przeraźliwém wyciem, jedynie przerywają wieczne tam milczenie, burzą chyba wstrząśnione; a ten jednostajny ich jęk, jakby jakiś śpiew pośmiertny, zdaje się hymnem umyślnie dlań utworzonym.

Wszystko tam w harmonii, wszystko jednostajnie o śmierci przemawia, barwę jéj nosi. Duży krzyż żelazny, czarny, nad czarnym stawem wzniesiony, doskonale ją dopełnia, a kilka żałobnych akonitów, tak ciemnych, jakby na grobach wzrosły, kołyszą ciągle swe smutne czoła pod wiatrem, co je ugina. (5)

Ten krzyż czarny, jedyném jest tam dziełem człowieka, jedyném jego śladem. (6) Ten kwiat posępny z trucizną na dnie kielicha swego, jedyną rośliną, jedyną ozdobą téj srogiéj natury.

Przerażone oko spogląda, czy w pośród żałobnéj tego stawu powierzchni, w pośród tych czarnych fali, wiatrem miotanych i wzdymających się, nie ujrzy katafalku, trumny i gromnic.... ucho szuka w jękach powietrza, rytmu jakiego requiem.... wszystkoby tam naturalném, o niemal potrzebném się wydało.... Śpiew skowronka, wesołe skoki polnego konika, nieznośną byłyby tam sprzecznością.

Takie było przynajmniéj moje uczucie.

Drżąca, nie wiem czy wpływem ziębnącego w miarę wysokości powietrza, czy ziębiącém mą duszę wrażeniem, obwinęłam się szalem i pod krzyż się schroniłam, w nim wówczas, jak i w całém życiu szukając przeciw próżnym wichrom podpory. Lecz mimo to, musiałam zgiąć się cała, by mię nie obalił, a wkrótce na wskróś nim przeszyta, uczułam potrzebę odwrotu.

Na dole, to jest: nad Morskiém okiem, znaleźliśmy znów piękny upał, w chatce obiad obfity i wesołe myśli, któremi staraliśmy się, czarne stawu zatruć wspomnienia.

Po krótkiéj poobiednéj przechadzce, ponowionych próbach po wystrzale z fuzyi tysiącznie powtarzającego się echa, po nacieszeniu się odwiecznym na głaz prawie stwardniałym karpackim śniegiem, tak miłym w tym sierpniowym upale, po kilku botanicznych, mineralogicznych i innych poszukiwaniach, z których ja kilka roślin, pan Dr. K*** parę salamander uwiózł; zabraliśmy się napowrót do Bukowiny, gdzie nas czekał lepszy, niż ostatni nocleg.

Nie jeden zapewne wie o tém, że z daleko większą pracą i trudami, wspina się do szczytów, niż z nich się wraca. Nie jeden nawet w tym zwykle szybkim powrocie karku nadkręcił. My szczęśliwsi! lubo także bieżeliśmy z tych gór, jakby nas jaka nieprzyjazna pchnęła ręka, okupiliśmy to jedyném potłuczeniem kości, wprawdzie tak bolesném, iż czasem się zdawało, że je pogrzebiemy, że wkrótce powiększą stósy kamieni, po których jechaliśmy.

Mężczyzni z grubszemi podeszwy, powysiadawszy z wózków, szli bokiem szukając cieniu. My biedne w cienkiém obuwiu, piekłyśmy się niemiłosiernie na słońcu i tłukły po opokach, błagając Górali, by ile możności wstrzymywali poczciwe swe konie, a gdzie można, spocząć nam pozwolili.

(Dokończenie nastąpi.)

---

(4) Rozmaite są domysły o początku tych karpackich stawów. — Pan Zeiszner zaś utrzymuje, że tak Morskie oko, jak i inne, są tylko skalistemi kotlicami, zasycanemi jedynie śniegiem i wodą z gór spadającą. To tłómaczenie z wielu względów mnie nie zadowalnia.

(5) Akonitum napellus, po polsku Tojad. Ojczyzna jéj Alpy i Karpaty. Niezdarzyło mi się nigdy widzieć tak ciemnych, jak nad Czarnym stawem. Malwy i róże czarnemi w ogrodnictwie zwane, daleko bywają jaśniejsze.

(6) Postawił go Grzegorz, Tomasz Ziegler, biskup niegdyś tarnowski, a teraz liński. Napis na nim: Hic non plus ultra, non supra nisi in Cruce. D. N. J. Christi 1823.

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (Redaktor: J. Łukaszewicz.